

I. RYS BIOGRAFICZNY BŁ. EDMUNDA BOJANOWSKIEGO

1. Dzieciństwo i młodość

Edmund Bojanowski urodził się 14 listopada 1814 r., jako syn Walentego i Teresy z Umińskich (z pierwszego małżeństwa Wilkońskiej - pierwszy jej mąż, człowiek dobry i pobożny, z którym miała syna Teofila, zmarł przedwcześnie), średniozamożnych właścicieli ziemskich zamieszkałych w wielkopolskiej wiosce Grabonóg, odległej ok. 3 km od Gostynia.

Sześć dni później został ochrzczony w kościele parafialnym w Wielkich Strzelcach przez ks. Jakuba Ostrowskiego. Oprócz pierwszego imienia, którego używał, na Chrzcie św. otrzymał także dwa inne – imiona świętych patronów Polski – św. Wojciecha i św. Stanisława.

W tej głęboko religijnej rodzinie pielęgnowano polskie tradycje patriotyczne: cześć dla bohaterów narodowych oraz miłość do podzielonej przez zaborców Polski. Ojciec Edmunda - Walenty Bojanowski, jego przyrodni brat Teofil Wilkoński oraz brat matki – generał Nepomucen Umiński, byli uczestnikami powstania listopadowego, a ojciec za obronę twierdzy Modlin został odznaczony krzyżem zasługi.

Wydarzeniem z dzieciństwa, które często wspominał Edmund, było uzdrowienie z ciężkiej choroby. Kiedy jako 4 letni chłopiec zapadł na ciężką chorobę, lekarze nie dawali już szans na jego przeżycie. Zrozpaczona matka powierzyła syna Matce Bożej – i Edmund wrócił do zdrowia: gdy po modlitwie wróciła do pokoju, zastała dziecko radosne, „jakby obudzone ze snu”. Jako wotum za łaskę wysłuchania modlitwy, rodzina ofiarowała do bazyliki ojców filipinów na Świętej Górze w Gostyniu srebrne Oko Opatrzności, które zostało umieszczone w bocznym ołtarzu przed figurą Piety [w sztuce - przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwego Chrystusa]. Edmund wiele razy słyszał od matki o swoim cudownym uzdrowieniu i gdy dorósł, umieścił jego opis w kronice kościoła na Świętej Górze.

Edmund nie chodził do szkoły, lecz jak było to w zwyczaju bogatszych rodzin, najpierw uczyła go matka, a potem pobierał prywatne lekcje w domu. Miał jednak przyjaciół wśród rówieśników z okolicy, najczęściej o podobnym jak on pochodzeniu społecznym. W przyszłości, niektórzy z nich stali się jego współpracownikami w służbie ludziom najuboższym. Zachowały się wspomnienia, że Edmund od najmłodszych lat odznaczał się wrażliwością i dobrocią serca.

Bojanowscy przeprowadzili się z Grabonoga do odległego ok. 35 km Płaczkowa, gdy Edmund miał 11 lat. Jego nauczycielem został wtedy ks. Jakub Siwicki, wikariusz

z pobliskiego miasta Dubin. Edmund był młodzieńcem uzdolnionym, pilnym w nauce i twórczym w myśleniu. Wkrótce pomiędzy uczniem i nauczycielem nawiązała się serdeczna więź, a ks. Siwicki młodszego o przeszło 20 lat Edmunda nazywał przyjacielem, którego „być mądrym ośmielił”.

Edmund interesował się szczególnie literaturą i historią. Fascynowały go życiorysy wielkich Polaków, o których nie tylko wiele czytał, lecz podejmował też pierwsze własne próby pisarskie.

W 1832 r. – jako 18 letni młodzieniec – Edmund wyjechał do Wrocławia, aby uczyć się na tamtejszym Uniwersytecie. Przez ponad dwa lata był wolnym słuchaczem, a równocześnie uzupełniał średnie wykształcenie. Indeks wydziału filozoficznego otrzymał na początku 1835 r. W tym czasie przeżył też młodzieńcze zauroczenie Marią Pohl, córką profesora fizyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Nie wiadomo nawet, czy kiedykolwiek miał okazję zawrzeć z nią bliższą znajomość, lecz po latach wspominał ją kilkakrotnie, podziwiając nie tylko wygląd zewnętrzny, urodę, lecz przede wszystkim „wysokie wykształcenie umysłu i ducha, wzorowe pełnienie obowiązków córki, nieznużone pielęgnowanie chorowitego ojca, osobiste trudnienie się kuchnią i domem, skromność i unikanie towarzystw światowych”. Kiedy dowiedział się, że Maria przeszła z protestantyzmu na katolicyzm i miała nawet wstąpić do klasztoru, napisał w swoim Dzienniku: „teraz pojmuję ów wewnętrzny pociąg ducha, który ku niej miałem i który mi za każdym na nią spojrzeniem powiadał tajemniczo o jakimś wyższym tej dziewicy powołaniu”.

Ciężkim osobistym doświadczeniem Edmunda w latach studiów była śmierć matki w 1934 roku oraz półtora roku później – śmierć ojca. Była to próba bardzo bolesna dla tego zaledwie 21 letniego, wrażliwego i chorowitego młodzieńca. Przeżywał ją jednak w łączności z Bogiem, a także mógł liczyć także na duchowe wsparcie ze strony przyjaciół, gdyż w gronie studentów cieszył się wielką sympatią i uznaniem, a nawet sławą młodego poety i tłumacza. Wcześniej włączał się czynnie w nurt życia kulturalnego młodzieży, uczestnicząc w wesołych spotkaniach towarzyskich, przy śpiewie piosenek [jeden z serdecznych przyjaciół – Ludwik Gąsiorowski, przyszły lekarz, upominał go nawet, aby nie szkodził swoim słabym płucom poprzez zbyt głośny śpiew], ale i twórczych dyskusjach, wymianie poglądów na różne interesujące tematy oraz marzeniach o niepodległej Polsce. Spotkania te były też dobrą okazją do zacieśniania więzi pomiędzy polską i niemiecką młodzieżą, która poznawała kulturę swoich narodów i uczyła się wzajemnego szacunku.

Koledzy uniwersyteccy po latach wspominali u Edmunda „skromność obyczajów, wiarę, pobożne życie” oraz jego wygląd: „jego postać dość wysoka i chuda, jego twarz pociągła i blada z czarnym wąsikiem i czarną bródką, jego oczy z zamysłem i smutkiem spoza okularów spoglądające; zawsze nadzwyczaj starannie ubrany, przy tym skromny i małomówny, przyciągał do siebie przyjacielskim uśmiechem i pewną delikatnością w obejściu”.

Po śmierci ojca Edmund odbył podróż, poprzez Drezno i Lipsk, do Berlina, gdzie zapisał się na wydział filozoficzny tamtejszego Uniwersytetu. W latach 1836 – 1838 kontynuował studia, korzystając także z wykładów z historii sztuki, muzyki, psychologii, poezji i logiki. Największą jego pasją stała się wówczas literatura: pisał między innymi artykuły o polskich zabytkach, tłumaczył wiersze liryczne, pieśni serbskie i czeskie, a także „Manfreda” Byrona. Niestety, poważna choroba płuc – gruźlica - zmusiła go do przerwania studiów. W 1838 r. formalnie opuścił Uniwersytet Berliński. Po odbyciu kuracji w Dusznikach - Zdroju wrócił do rodzinnego Grabonoga i zamieszkał u swego przyrodniego brata Teofila Wilkońskiego, który po śmierci rodziców był jego najbliższym krewnym.

2. Praca społeczna

Wkrótce Edmund Bojanowski aktywnie włączył się w nurt pracy społecznej, której celem było moralne i kulturalne odnowienie narodu polskiego. Chociaż sam był cierpiący, potrafił skierować swoją naturalną wrażliwość na potrzeby innych: jako właściciel ziemski szczególnie zainteresował się problemem poprawy warunków życia ludzi z najuboższych warstw społecznych. Został członkiem Wydziału Literackiego przy organizacji działającej w najbliższym mieście - Gostyniu – tak zwanym Kasynie Gostyńskim¹ (przyczynił się do zakładania czytelni wiejskich), Towarzystwa Naukowej Pomocy (organizowanie funduszu stypendialnego dla ubogiej, zdolnej młodzieży, w celu umożliwienia kształcenia się), Towarzystwa św. Wincentego a’Paulo (troska o chorych i ubogich) oraz Ligii Polskiej (celem tej organizacji była obrona praw ludności polskiej na ziemiach zagarniętych przez mocarstwa zaborcze oraz podnoszenie ducha narodu). Był współtwórcą w Poznaniu, Gostyniu, Śremie i Psarach miejskich ochronek dla dzieci nie uczęszczających jeszcze do szkoły.

¹ Była to organizacja skupiająca Polaków dążących do odrodzenia narodu nie poprzez walkę zbrojną, lecz na drodze tzw. pracy organicznej. Nazwa sugerować może, że była to instytucja rozrywkowa (tylko w ten sposób można było uspić czujność władz pruskich i uzyskać zatwierdzenie rządu), tymczasem pod pozorem spotkań towarzyskich, realizowane były cele kulturalne i dobroczynne na rzecz ludności polskiej.

Rozwijał także talent pisarski. Jego publikacje ukazywały się w czasopiśmie „Przyjaciel Ludu” (1834 – 1849), „Marzanna” oraz roczniku „Melitele”. Prowadził też własną działalność wydawniczą. Najciekawszą jego inicjatywą w tej dziedzinie było „Pokłosie. Zbieranka literacka na korzyść sierot”, wydawana w latach 1852 – 1862, zawierająca utwory krajowych i zagranicznych poetów ówczesnej epoki, czyli romantyzmu. W „Pokłosiu” znalazły się, między innymi, utwory Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Kamila Norwida, Aleksandra Fredry, Teofila Lenartowicza, Kornela Ujejskiego. Stały dochód na rzecz sierot uzyskiwany z tej publikacji szacuje się na ok. 100 talarów rocznie, dlatego Bojanowski wkładał wiele wysiłku, aby pismo ukazywało się systematycznie: prowadził korespondencję, gromadził nadesłane utwory i dokonywał wyboru najlepszych, pertraktował z drukarniami, a potem zajmował się rozprowadzaniem gotowych tomów. Będąc miłośnikiem polskiego folkloru, wraz z ks. Hilarym Koszutkim w latach 1860 – 1862 wydawał również dla ludu „Rok Wiejski”, w którym publikował - przeważnie anonimowo - także własne utwory. Jest autorem „Pieśni wiejskich dla ochronek”, które przez wiele lat przypisywano Teofilowi Lenartowiczowi. W 1863 wydał w Poznaniu „Starodawne przysłowia dla ochronek”. Prowadząc działalność wydawniczą i społeczną, E. Bojanowski osobiście poznał Antoniego Edwarda Odyńca, współpracował z Teofilem Lenartowiczem, Wincentym Polem, Augustem Cieszkowskim, Karolem Libeltem, a także inicjatorem pracy organicznej, lekarzem Karolem Marcinkowskim. Utrzymywał kontakt także z innymi obrońcami polskości, między innymi z działającym na Śląsku Józefem Lompą oraz z Krzysztofem Celestynem Mrongowiuszem z Mazur.

Powszechny szacunek i miano „drugiego Wincentego a’Paulo” zyskał Edmund Bojanowski zwłaszcza w czasie epidemii cholery, która w 1849 r. nawiedziła Gostyń i okolice, kiedy z narażeniem życia pielęgnował chorych. Nie pozostał także obojętny na los licznych wówczas sierot, dla których przy współpracy z innymi ludźmi, zatroskanymi o los najuboższych, założył tzw. Instytut - Dom Miłosierdzia, prowadzony przez siostry szarytki, z którym ściśle współpracował do 1856 roku. Osobiście zajął się urządzeniem domu, zgromadzeniem potrzebnych środków materialnych i sprowadzeniem sióstr. Szczególnie zależało mu na zapewnieniu dzieciom jak najlepszych warunków rozwoju i przygotowaniu ich do uczciwego, samodzielnego życia, aby sieroctwo nie kładło się cieniem na dalszym ich losie. Stawiał im wymagania, uczył pracy i systematyczności, ale także potrafił włączać się w ich zabawy. Dzieci, wyczuwając jego autentyczną miłość, spontanicznie nazywały go „tata”.

3. Założenie zgromadzenia zakonnego

Najważniejszym dziełem bł. Edmunda Bojanowskiego jest Zgromadzenie Sióstr Służebniczek, którego początek datuje się od założenia dnia 3 V 1850 r. ochronki dla dzieci wiejskich w Podrzeczu k. Gostynia. Edmund wybrał specjalnie dzień, który w tak piękny sposób łączy w sobie treści narodowe z religijnymi. Rocznica Konstytucji 3 Maja – symbol podźwignięcia się narodu i święto kościelne Znalezienia Krzyża. Trzem młodym siostrom, potocznie znanym ochroniarkami, składał życzenia ofiarnej pracy dla dobra Kościoła i narodu.

W liście do arcybiskupa gnieźnieńsko - poznańskiego Leona Przyłuskiego napisał: *od kilku lat zajmowała mnie myśl urządzenia ochronek wiejskich pod nadzorem dziewcząt wiejskich. Miałem na względzie: raz - korzyść małych dzieci wystawionych po wsiach przez zaniedbanie lub nieświadomość rodziców na zepsucie przedwczesne, po wtóre - uświęcenie kobiet wiejskich, a przez to wpływ na podniesienie i umoralizowanie ludu wiejskiego.* To właśnie ochroniarki [wychowawczynie dzieci w wieku przedszkolnym w tzw. ochronkach], których przygotowaniem duchowym i umysłowym zajął się osobiście, stały się ewangelicznym ziarnem, z którego wyrosło Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej. Odtąd E. Bojanowski całe swoje serce, zdolności i majątek poświęcił sprawom tego właśnie dzieła.

Powstającą instytucję kształtował według głęboko przemyślanych idei. Ochronka miała być instytucją dobroczynną i wychowawczą, która dawała rodzicom możliwość podjęcia pracy zarobkowej bez szkody dla opieki i wychowania dzieci.

W wychowaniu dzieci położył szczególny nacisk na stronę moralną, religijną i patriotyczną, chcąc jak najlepiej wykorzystać bogate tradycje polskiej wsi i jej duchowe bogactwo.

Według Edmunda Bojanowskiego, ochroniarka miała *całą duszą zająć się wychowaniem dzieci w ochronce.* Fenomenem jest także opracowany przez niego szczegółowy program wychowawczy, który po 150 latach, w pełni odpowiada nowoczesnym osiągnięciom pedagogiki i psychologii dziecka. Zajęcia w ochronce siostry miały organizować w sposób maksymalnie pobudzający aktywność dziecka: nie należało wyręczać go w niczym, co było w stanie zrobić samodzielnie. Zalecał pogadanki na różne tematy i posługiwanie się ilustracjami, w wśród zajęć najważniejszą rolę spełniała zabawa. Największą nowością w tamtych czasach było nie stosowanie kar cielesnych,

co E. Bojanowski ujął w wierszu: *do serduszka, do mojego dam ci matko klucz: różdżką mnie nie napominaj, słówkiem tylko ucz! Od różdżki się rozum traci, duch się może stłuc - słówkiem rozum się bogaci, słówkiem matko ucz.*

Ważnym elementem wychowania religijnego było uwrażliwianie dzieci na człowieka potrzebującego i przyzwyczajanie ich do niesienia pomocy zarówno chorym i ubogim, jak też sobie na wzajem.

Ochroniarki uznał za osoby zdolne nie tylko do sprawowania opieki nad dziećmi, ale do spełnienia roli jakby „kapłanek polskiego ludu”. Jako człowiek głębokiej wiary i modlitwy, posiadający też wykształcenie uzyskane na uniwersytetach, stał się zarówno wychowawcą pierwszych sióstr, jak też kierownikiem duchowym, który pomagał im zrealizować pragnienie służby Bogu i człowiekowi w życiu zakonnym.

Kiedy okazało się, - że zgłasza się wiele chętnych dziewcząt, zdecydowanych na taki sposób życia zakonnego i gotowych do końca życia poświęcać się pracy na rzecz dzieci, ubogich i chorych, - a równocześnie kolejne osoby zwracały się z prośbą o założenie ochronek, postarał się o otwarcie nowicjatu. Dnia 26 VIII 1856 r. we wsi Jasków w Wielkopolsce utworzył nowicjat dla kandydatek do formującego się zgromadzenia. Duchowe kierownictwo wspólnoty powierzył ojcom jezuitom ze Śremu. W 1855 r. naszkicował Edmund Bojanowski główne punkty Reguły, którą przesłał do Rzymu, do księży ze zgromadzenia zmartwychwstańców, aby pomogli w uzyskaniu jej zatwierdzenia przez Kościół.

Wkrótce jego widoczny zamiar założenia nowego zgromadzenia zakonnego zaczął jednak budzić wiele wątpliwości. Nawet dla życzliwie usposobionych wobec Edmunda osób duchownych, którzy darzyli go szacunkiem za nieskazitelne życie i poświęcenie, przeszkodą wydawał się fakt, że jest on człowiekiem świeckim, a nie kapłanem. Jego dziełu nie wrócono długiej przyszłości obawiając się, że rozpadnie się po śmierci założyciela, lecz mimo to, zgłaszały się nowe kandydatki i napływały oferty zakładania kolejnych ochronek. Wkrótce nastąpiło także upragnione zatwierdzenie ze strony Kościoła.

4. Ostatnie lata życia

Kiedy Zgromadzenie rozwijało się i usamodzielniało, w duszy Edmunda odezwało się silne pragnienie kapłaństwa. W 1868 r. opuścił rodzinny Grabonóg, który został właśnie sprzedany na skutek finansowych trudności brata, i wyjechał do Poznania. Uzyskawszy pozwolenie abp Mieczysława Halki Ledóchowskiego, dnia 30 III 1869 r. wstąpił do

Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Gnieźnie, gdzie dnia 7 X 1869 r. otrzymał sutannę. Niestety, na skutek pogarszającego się stanu zdrowia już w maju 1870 r. musiał opuścić mury seminaryjne. Ostatnie miesiące życia spędził u jednego ze swoich przyjaciół - ks. Stanisława Gieburowskiego, proboszcza w Górcie Duchownej. Do końca interesował się sprawami sióstr służebniczek, spotykał się z nimi i prowadził korespondencję, kontaktował się z fundatorami powstających placówek. Czując zbliżającą się śmierć, 27 VII 1871 r. przyjął Sakrament Namaszczenia Chorych, 5 VIII ostatni raz przyjął Komunię Świętą, a 7 VIII przeszedł do wieczności - o godz. 20³⁰, mając niecałe 57 lat. 10 VIII jego ciało przewieziono do Jaszkowa, gdzie następnego dnia odbył się pogrzeb, z udziałem 10 księży i 86 sióstr służebniczek z Wielkopolski i Śląska [przed śmiercią wyraził życzenie, aby o jego pogrzebie nie było ogłoszeń w gazetach]. Trumnę złożono w grobowcu Szoldrskich, w podziemiach kościoła w Jaszkanie, w pobliżu pierwszego nowicjatu założonego przez niego zgromadzenia. W 1927 r. doczesne szczątki Edmunda Bojanowskiego przelożono do dębowej trumny i przewieziono do Żabikowa (obecnie Luboń), koło Poznania.

W hołdzie Zmarłemu tak napisano w „Tygodniku Katolickim”: *Odszedł „serdecznie dobry człowiek”, jeden z najpobożniejszych, najpokorniejszych i najzasłużeńszych katolików Wielkopolski (...), wzór cichej pobożności, łagodnej wyrozumiałości i wyrzeczenia się siebie.*

Zgromadzenie założone przez Bojanowskiego jeszcze za jego życia rozwijało się w Wielkopolsce, Galicji, na Śląsku i w Królestwie Polskim, jednak działalność sióstr wkrótce spotkała się ze stanowczym sprzeciwem zaborców. Ceną dalszego istnienia ocalonych przed kasatą placówek był podział Zgromadzenia. W następnych latach stopniowo wyodrębniły się cztery autonomiczne gałęzie Sióstr Służebniczek: wielkopolskie z domem generalnym w Luboniu koło Poznania, starowiejskie z domem generalnym w Starej Wsi koło Brzozowa, dębickie - w Dębicy oraz śląskie – we Wrocławiu.

Obecnie około 3 tysiące sióstr pracuje w Polsce, innych państwach europejskich, a także w Afryce, Azji i Ameryce (ogółem na ponad 500 placówkach w 25 krajach świata). Realizując charyzmat Założyciela, otwarte na potrzeby Kościoła, przystosowują swoją działalność do panujących warunków społecznych, pracując w duchu prostoty i miłości służebnej. W Anglii istnieje także zgromadzenie The Poor Servants of the Mother of God, założone na wzór polskich Służebniczek przez Fanny Margaret Taylor w Londynie. F. M. Taylor osobiście odwiedziła Edmunda Bojanowskiego w 1869 r. Z regułą służebniczek pracujących na terenie Galicji zapoznał się także o. Jeremiasz Łomnicki – bazylianin, zakładając w 1892 r. wraz z ks. Cyrylem Sieleckim i m. Jozafatą Michaliną Hordaszewską Zgromadzenie Sióstr Służebnic Niepokalanej Panny Maryi w obrządku greko-katolickim.

5. Proces beatyfikacyjny i beatyfikacja 13 czerwca 1999 r., podczas Mszy św. odprawionej przez Jana Pawła II w Warszawie, w czasie jego pielgrzymki do Polski.

Tajemnica osobowości bł. Edmunda Bojanowskiego odsłania się na tle jego życia wewnętrznego, skąd czerpał siły do działalności. Przede wszystkim był człowiekiem, który słuchał i rozważał Słowo Boże. Co roku odprawiał 3-dniowe rekolekcje zamknięte u ojców jezuitów w Śremie. Centralnym punktem każdego dnia była dla niego Msza św., chociaż do kościoła – w zimie nie ogrzewanego – miał do pokonania piechotą ponad 3 kilometry, i czynił to bez względu na pogodę. Często spowiadał się, przyjmował Komunię św. i wiele godzin spędzał na modlitwie przed Najświętszym Sakramentem. Szczególne miejsce w jego duchowości zajmowała Maryja – to przecież Jej Imieniu i służbie poświęcił założoną przez siebie wspólnotę zakonną. Jak mówił, *wiara i zawierzenie Bogu było jego codziennym pokarmem, tarczą w zmaganiach z trudami i przeciwnościami życia, siłą do ponoszenia ofiar*. Jako człowiek odznaczał się wielką prostotą, delikatnością, serdecznością i miłością bliźniego. Często powtarzał: *Każda dobra dusza jest jako ta świeca, która sama się spala, a innym przyświeca*. Kiedyś zapisał w swoim „Dzienniku”, komentując zaistniałą sytuację: *i mnie, mój Boże ciężko, bardzo ciężko, ale wolę ja mieć kłopot, niż pozostawić kogoś w kłopotcie*.

Edmund Bojanowski zmarł w opinii świętości. Długo jednak trzeba było czekać na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego, gdyż zaraz po jego śmierci, na terenie Prus i ziem polski będących pod zaborem pruskim rozpoczęła się ostra walka skierowana przeciw Kościołowi katolickiemu i wszystkiemu co polskie – tzw. Kulturkampf.

W 1874 r. władze pruskie aresztowały ks. arcybiskupa Mieczysława Ledóchowskiego, który był osobą najbardziej kompetentną do rozpoczęcia starań o beatyfikację Edmunda Bojanowskiego. Także wskutek ustawy z 1875 r. o kasacie zgromadzeń zakonnych, większość placówek służebniczek, łącznie z domem generalnym w Jaszkanie, została zamknięta. Taki trudny stan trwał do końca I wojny światowej. Lata międzywojenne, to czas odbudowywania struktur Kościoła po niewoli narodowej, jednak kardynał August Hlond bardzo pragnął rozpocząć proces beatyfikacyjny Edmunda Bojanowskiego. Miało to nastąpić w roku 1939, ale wtedy wybuchła II wojna światowa. Bezpośrednio po niej, na prośbę siostr o wszczęcie procesu informacyjnego do beatyfikacji i kanonizacji Edmunda Bojanowskiego, ks. Kardynał zarządził, by w archiwach Zgromadzenia zrobiono spis dokumentów odnoszących się do życia, śmierci i cnót Edmunda. Został też ustanowiony postulator sprawy beatyfikacyjnej. Wśród osób szczególnie zaangażowanych w prowadzenie procesu, aż do

beatyfikacji w 1999 r., wymienić należy ks. Kardynała Zenona Grocholewskiego w Rzymie, a na terenie Polski – ks. prof. Mariana Fąkę.

W 1960 r. zakończono proces na szczeblu diecezjalnym i przekazano dokumenty do Rzymu. W 1972 r. sprawa starań o beatyfikację Edmunda Bojanowskiego, wniesiona początkowo jako „zwyczajna”, została przekwalifikowana przez Kongregację do Spraw Świętych na „historyczną”, gdyż nie było już żyjących osób, które osobiście zetknęły się z tym wielkim człowiekiem. Konieczne okazało się przygotowanie tzw. Pozycji historycznej, wskazującej na podstawie źródeł pisanych heroiczną i cnót Edmunda Bojanowskiego. Na podstawie Pozycji wydany został Dekret o heroicznosci cnót sługi Bożego. Ponadto Kongregacja uznała za cud uzdrowienie z choroby nowotworowej osoby, w intencji której zanoszona była modlitwa przez przyczynę sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego.

A oto fragment homilii, wygłoszonej przez Ojca św. Jana Pawła II podczas uroczystej beatyfikacji, dnia 13 czerwca 1999 r. w Warszawie:

„Apostolstwo miłosierdzia wypełniło również życie błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Ten wielkopolski ziemianin, obdarowany przez Boga licznymi talentami i szczególną głębią życia religijnego, mimo wątłego zdrowia, z wytrwałością, roztropnością i hojnością serca prowadził i inspirował szeroką działalność na rzecz ludu wiejskiego. Wiedziony pełnym wrażliwości rozeznaniem potrzeb, dał początek licznym dziełom wychowawczym, charytatywnym, kulturalnym i religijnym, które wspierały materialnie i moralnie rodzinę wiejską. Pozostając świeckim człowiekiem, założył dobrze w Polsce znane Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej. We wszelkich działaniach kierował się pragnieniem, by wszyscy ludzie stali się uczestnikami odkupienia. Zapisal się w pamięci ludzkiej jako «serdecznie dobry człowiek», który z miłości do Boga i do człowieka umiał skutecznie jednoczyć różne środowiska wokół dobra. W swojej bogatej działalności daleko wyprzedzał to, co na temat apostolstwa świeckich powiedział Sobór Watykański II. Dał wyjątkowy przykład ofiarnej i mądrej pracy dla człowieka, ojczyzny i Kościoła. Dzieło błogosławionego Edmunda Bojanowskiego kontynuują Siostry Służebniczki, które z całego serca pozdrawiam i dziękuję im za cichą i ofiarną służbę dla człowieka i Kościoła.”

Opracowano na podstawie:

Fąka Marian, ks., Ziarno wrzucone w ziemię. Błogosławiony Edmund Bojanowski (1814-1871). Założyciel Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP Niepokalanie Poczętej, Poznań 1999 (wyd. 1, Wrocław – 1988)

Kornacka Maria Manfreda, s., Edmund Bojanowski (1814-1871), w: Nasza Przeszłość. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce. Red. ks. Alfons Schletz, Kraków 1967, t. 26, ss. 5-145

II. TEKSTY ŹRÓDŁOWE – WYPISY Z DZIENNIKA BŁ. EDMUNDA

WRAŻLIWOŚĆ SERCA I DZIEŁA MIŁOSIERDZIA

Czwartek, 12 października 1854 r. – Pogoda najśliczniejsza przez cały dzień. Byłem w kościele i umówiłem się z ks. Hübnerem i ks. Preibiszem, (...) aby razem pójść do Ochronki w Podrzeczu. (...) Miłe w drodze ku Podrzeczu miałem zdarzenie. Spotkaliśmy babkę starą idącą po jałmużnie. Prosząc o wspomnienie, narzekała coś o zgubionym chlebie, ale tego dobrze nie zrozumiałem i zajęty rozmową z księżmi nie dałem jej jałmużny, bo miałem tylko kilka srebrników przy sobie. Srebrnik zdawał mi się datkiem za dużym, więc opuściłem sposobność wsparcia staruszki. Bóg przecież pozwolił mi powetować przewinienie. O kilkaset kroków odszedłszy, spostrzegam na drodze kawał chleba leżący. Podniosłem, pobiegłem za babką i oprócz chleba znalezionej, dałem jej srebrnika, którego przed chwilą dać żałował. Radość babki i jej głośne błogosławieństwo ileż były więcej warte, niżli ten srebrnik i posługa!

Poniedziałek, 13 listopada 1854 r. – Wicher i zamieć śnieżna ogromna przez dzień cały. (...) Rano zesłał mi Pan Bóg ubogiego podróżnego chłopaczka, widać bardzo nieszczęśliwego. Dałem mu spodnie, kamizelkę i złp. 1, a od Teofila koszulę, bo jego dola tułania się wśród takiej zamieci do żywego mnie przejęła.

Czwartek, 12 maja 1853 - Zapłaciłem także 1 Talarów i 5 srg. za bilety pocztowe dla dwóch panien ubogich, które tu na kurację z Szalejewa przybyły, a teraz, o szczupłych bardzo funduszach, nie wiedziały, jak się dostać potrafią do Poznania. Ubodzy, nie śmiejący wyciągać rękę po jałmużnę, szczególną budzą we mnie litość.

Sobota, 23 grudnia 1854 - Piałem w dzienniku. Wtem powiadają mi najbardziej pożądaną przy dzisiejszym dniu wiadomość, że przyszła jakaś nędzna niezmiernie kobieta, dopraszająca się o przyjęcie jej dziecięcia do sierot. – Dziś Wigilia, dziś pamiątka, jak uboga Rodzina Przenajświętsza szukała gospody. Jakież to dziwnie miłe dla serca zdarzenie – pomyślałem sobie – że dziś właśnie uboga wdowa przynosi nam sierotkę do żłobka! (...) Teofil pożądaną

przywiózł mi z Rawicza wiadomość, że powiat wyznaczył na ubogich przeszło 1000 talarów i chce, aby kuchnię dla ubogich na Gostyń i okolicę urządzić w Domu Miłosierdzia. Dzięki Bogu!

Środa, 13 kwietnia 1853 - Była u mnie Katarzyna, starsza z Ochronki Podrzeckiej. (...) Przyniosła mi nie pocieszającą wiadomość, że dzisiejszej nocy ukradziono nam konia kwestarskiego u Dobka. (...) Ile razy nas Pan Bóg jaką szkodą nawiedzi, przypominam sobie najściślej, czyśmy w czymkolwiek przeciwko miłosierdziu nie wykroczyli, czyśmy nie odmówili przyjęcia jakiej sieroty lub chorego? Ale dzięki Bogu, nic takiego przypomnieć sobie nie mogę.

Sobota, 16 kwietnia 1853 r. - Śnieg niespodziany spadł w nocy (...). Ptaszki strwożone cisnęły się do mego okna, ćwierkały i dziobkami pukały w szyby, jakby się dopominając pożywienia, które im na murze za oknem codziennie przez czas zimy tegorocznej posypywałem z okruszyn bułek, a od Wielkiejnocy z babek i placków. Była to próbka udzielania jałmużny dla ptaszków, którą chciałem później zaprowadzić w Ochronie dla niewinnej, a miłosiernej zabawy dzieci.

21 września 1858 – Z listu z ochronki w Turwi – *Dzieci jak przedtem, tek i teraz w czwartek chlebem się dzielą, a w piątek chleb na ubogich składają. Ubogiego żadnego nie opuszczamy. Dotychczas dawaliśmy zawsze obiad dwojgu dzieciom, a teraz dawać będziemy i trzeciemu.*

Poniedziałek, 20 listopada 1854 – Dowiedziałem się, że w przyszły poniedziałek i wtorek, kiedy owa zamieć śnieżna była, umarło dwóch fernali z Pudliszek, wiozących drzewo z Chocieszewic, oraz jakaś kobieta pomiędzy Pudliskami i Krobią, i jeszcze jakaś dziewczyna pomiędzy Żytowiekiem a Aleksandrowem. Mój Boże! Jakże ci biedacy często z nędzy marnieją, a my myślimy o fetach, imieninach, polowaniach, tylko nie o biednych bliźnich.

9 kwietnia 1853 - Podzieliłem się z robotnikiem moim obiadem, przy którym mnie zastał, bo nie pojmuję, jak można w gościnności robić wyłączenia. Jeżeli jednych spraszamy na obiady, to tych, których Bóg nadarzy, przede wszystkim ugościć winniśmy.

Środa, 25 maja 1853 - Zabrałem paczkę karmelków dla mojej ukochanej Józi i do Instytutu około pół do pierwszej przyszedłem. Najprzód pobiegłem do refektarza siostr nawiedzieć Józję; Zastałem ją dużo słabą. (...) Dawałem jej pomarańcze, wodę ze sokiem malinowym,

lecz tego ani widzieć nie chciała. Obojętnie spoglądała na zabawki ołowiane, które jej na pościółce kładłem, ale gdy godzina zażycia lekarstwa przyszła, lekarstwo nader przykre nałalem (...) i skorom jej powiedział, że tata prosi, aby zażyła, wnet otworzyła usteczka, wypła najchętniej przykre lekarstwo. (...) Powiadały mi siostry, że w mej nieobecności, ilekroć jej dają lekarstwo, zawsze jej mówią, iż to „dał tata”, i dziecię ukochane zaraz choćby najprzykrzejsze lekarstwo zażywa najchętniej. Oto łzy spadają mi na kartkę i pismo ćmi się przed oczami. Dalej pisać nie mogę.

28 czerwca, 1855 - Byłem w kościele, a stamtąd w Instytucie. Zostałem w niebezpiecznej słabości kochaną moją sierotkę Wiktosię. (...) Pocieszałem ją, jak mogłem. Obiecałem jej jutro (...) Mszę św. u Najświętszej Panny Gostyńskiej o uproszenie dla niej zdrowia. Łzami w oczach dziękowała mi za to.

Czwartek, 10 listopada 1853 - Około drugiej nadszedł ks. Bielawski dla towarzyszenia pogrzebkowi Andzi na cmentarz. Piękny to był orszaczek, jak wszystkie naszych dzieci pogrzeby. (...) Mimowolnie łzy mi się z oczu puściły, przypominając sobie podobne odprowadzenie do grobu Józinki. Niemniej rozrzewnił mnie widok Frani, stojącej nad grobem otwartym swojej siostrzyczki. O, jakże to ciężka dola takiej sierotki – nie mieć nikogo, co by równie szczerzy udział brał w tej żałości.

14 marca 1859 - W czasie, gdy rozmawiałem w izbie ochronkowej z gospodarzami o budowie kaplicy, dzieci (...) bawiły się na słońcu przed ochronką. Jedno tylko dziewczątko, może pięcioletnie, zostało w izbie i (...) ciągle trzymało się poły mego surduta.

26 kwietnia 1853 - Zdziwiłem się dzisiaj, gdy wchodząc na górę po schodach, powitało mnie z wyraźną radością i wyciągniętymi rączkami dziecię około trzech lat mające, Marynka (...) która przedtem była wielce nieśmiała. (...) Przypomniałem sobie, iż wczoraj (...) zastałem to dziecię, jak zakłopotane usiłowało drugiemu, mniejszemu jeszcze od siebie dziecięciu ułatwić zejście ze schodów (...) kiedym właśnie nadszedł i dopomogłem obojgu.

1 kwietnia 1853 - Na korytarzu okoliły mnie sieroty, trzymając w rękach listki bluszczowe i żądając ode mnie zielonego. Tym razem przecież zaopatrzyłem się w gałązkę świerkową, którą po drodze urwałem. Ale za poprzednią moją bytnością, nie mając zielonego przy sobie przegrałem (...) Liczne zwodzenia na prima Aprilis niezwykłą wesołość i ruch sprawiały pomiędzy dziećmi. Udało się i mnie zwieść doskonale, tak, iż bynajmniej nie przewidziałem

żartu. (...) W chwili obiadu odwiedziłem zgromadzone w refektarzu sieroty. Siostra Wincentyna do rozdzielania porcji jeszcze nie nadeszła i dzieci podały mi łyżkę do nalewania, prosząc abym im zupełnie rozdzielił. Zakrzętałem się ochotnie, ale mi nie szło od ręki, bo dzieci dla doświadczenia mojej zręczności tłumnie i coraz śpieszniej z porcjami nadbiegały.

23 sierpnia 1853 - Ruszyliśmy z powrotem drogą prowadzącą około leśnego źródła, gdzie spocząwszy w chłodzie rzeźwiliśmy się zimną wodą kryniczną i bawili z dziećmi w rzucanie obręczy i toczenie kręgu. (...) Poza tym miejscem wyprzedziłem z Ks. Stępińskim i kilkorgiem sierot resztę towarzyszek i w cieniu przy drodze spocząwszy, czekaliśmy przygotowując niespodziankę.

Poniedziałek, 29 września 1854 r. – Nadjechał tymczasem Koźmian. (...) Mówiłem mu o naszym dawnym już zamiarze wydania książki dla ludu o nawiedzaniu chorych, która by była złożona z kilku rozdziałów: o pobudkach do nawiedzania chorych, o różnych względach nastęrczających się przy takowym nawiedzaniu, o pociechach dla chorych – oraz nabożeństwa dla chorych i przy chorych, tudzież lekarskie przestrogi dozorowania.

Piątek, 26 sierpnia 1853 - Przy piątku odwiedziłem chorych i chcąc im posłużyć starym obyczajem, nakarmiłem jednego bardzo słabego chorego, który sam łyżki utrzymać nie może. Jest to młody robotnik, Niemiec, który o mil kilkadziesiąt przyszedł do Pudliszek do kopania torfu.

Wtorek, 19 kwietnia 1854 – Zobaczyłem duży pojazd zajeżdżający przed Instytut. Była to pani Kajetanowa Morawska z córkami. Wszyscy byliśmy jej przybyciem wielce uradowani. Pani Morawska została z nami przez cały dzień w Instytucie. Oddaliłem się na chwilę odwiedzić chorą Dobkową, którą już bardzo bliską śmierci zastałem. Poszedłem potem do pana Kuleszy, od którego wziąłem nowy funt revalenty dla naszych chorych, i zaraz ugotowano w Instytucie porcję na rosole, z których próbowaliśmy po trosze, i sam zostawiłem sobie przyjemność zaniesienia jednej porcji chłopakowi stajennemu, którego matka za moją namową dopiero w zeszłą niedzielę z Goli do Instytutu przywiozła. Ksiądz w poniedziałek opatrzył go św. sakramentami, bo chory był już słaby i dziś sam widziałem w nim podobieństwo suchot galopujących, których się doktor obawiał.

Niedziela, 22 lipca 1855 – Po Mszy Św. godzinkowej widziałem się z Magdaleną i Elżbietą. Pierwszej powinszowałem dzisiejszych imienin. (...) Na wielką moją pociechę opowiedziała

o wczorajszej chorej szczegóły, które wczoraj Jagusia przemilczała, ponieważ ona ją wyszukała pierwsza i towarzyszki do pomocy wezwała. Magdalena udała się zaraz do dworu prosić o konie po księdza, ale gdy jej odmówiono, oświadczyła, że będzie musiała nająć we wsi, ale umierającej bez księdza zostawić nie może. To dopiero spowodowało, że się konie we dworze znalazły. Ochroniarki dwie od rana musiały prawie do południa oczyszczać izbę i chorą – w takim nieładzie i nędzy wszystko zastały. (...) Musiały jedno ze swych łóżek przynieść, Jagusia dała swoje prześcieradło, z którego uszyły i zrobiły siennik wygodny, bo chorą na barłogu i na podłodze leżącą zastały. Jagusia także dała dla niej koszulę, choć sama ma tylko kilka i już bardzo lichych. (...) Na przyjęcie księdza z Panem Jezusem narwały co prędzej kwiatów, usłały nimi ścieżkę od samej drogi przez sień i izbę, aż do stolika przy chorej, na którym wśród kwiatów ustawiły świece gromniczne i krzyż z ołtarzyka Ochrony. (...) Ze łzami dowiedziałem się o tych wszystkich szczegółach i z całej duszy dziękowałem moim kochanym dziewczętom za ich – powiem – domyślność serca. (...) Mnie zaś naprowadza to na myśl urządzenia po wioskach jakiegoś bractwa albo religijnego zobowiązania mieszkańców do niesienia pomocy takim opuszczonym chorym.

3 lutego, 1860 – Z listu Sióstr z Turwi: *Chorych w szpitalu nawiedzamy codziennie; na wieczór czytamy im Żywoty Świętych Pańskich i inne czytania duchowne, z czego są bardzo kontenci, proszą nas zawsze, żebyśmy mogły przyjść jak najprędzej. A gdy mamy inne zatrudnienia, że zaraz przyjść nie możemy, to skoro do nich przyjdziemy po skończonej pracy – z wielkim oczekują nas upragnieniem.*

25 marca 1858 – W przeszłym tygodniu miały niebezpiecznie chorą, którą dnie i noce pielęgnowały na wsi. Podczas niedawnych zamieci śnieżnych była bardzo chora jedna gospodyni na Hubach. Siostry i nowicjuszki po dwie zmieniając się, pielęgnowały ją ciągle. (...) Całe noce i dnie przy chorej siedziały, całym jej gospodarstwem się zajmowały, chleb piekły, bydło oprzątały, prały i wszystko, co było chorej w domu potrzeba robiły.

Czwartek, 11 stycznia 1855 - Cały dzień siedziałem nad obrachunkami zupy rumfordzkiej, które o tyle korzystnie mi wypadają, iż zdaje się, że za 1 srebrny grosz będzie można porcję bardzo dobrze wystarczyć. Po południu był u mnie pan Walsen, kotlarz. Umówiłem się z nim, że zrobi rurę od aparatu parowego do kotła obejmującego sto kilkadziesiąt kwart, w którym ma się zupa dla ubogich gotować.

Poniedziałek, 15 stycznia 1855 - Poszedłem do kościoła, stamtąd do miasta, gdzie wstąpiwszy do komisarza i burmistrza, zaprosiłem ich na pierwszą do Instytutu na próby zupy, którą w kilku porcjach zgotować umyśliłem, jaką dla ubogich dawać mamy. W kuchni Instytutowej zakrzętnąłem się do gotowania według przepisu i wymiaru Rumforda. Zgotowałem jedną porcję na ryżu, drugą na kaszy jęczmiennej, trzecią na mące, czwartą w podwójnej ilości wiktuałów na ryżu. Przekonaliśmy się, że porcja Rumforda, ważąca 1 funt, a obejmująca ½ kwarty jest za rzadka i za mała. Nawet podwójna porcja widziała nam się za szczupłą. (...) Umyślnie od rana prócz kawy nic nie jadłem, aby na samym sobie doświadczyć, czy po zjedzeniu porcji N^o 1 można być dostatecznie nasyconym. Około pierwszej zjadłem tę porcję i czułem się dość sytym, ale i to niedostateczna próba, bo wszakże wczoraj byłem dobrze nasycony.

Środa, 27 października 1858 – Pisze mi Ludwik, że Rada Wyższa Towarzystwa św. Wincentego chce mnie mieć członkiem korespondentem. Zapytują się, czybym im nie odstąpił pewnej liczby egzemplarzy *Wspomnienia o Annie Taigi* po 1 i ½ srebrnego grosza. – Dziś właśnie przed odebraniem tego listu myślałem czytałem na nowo całą tę książeczkę i myślałem jakby to było dobrze, żeby można pewną część tej książeczki spieniężyć teraz, gdy jestem właśnie w kłopotcie o kilka talarów na opłatę jednej chorej zreumatyzowanej, którą pragnąłbym na wyleczenie do sióstr w Gostyniu oddać. Bóg miłosierny niezwłocznie zdarzył na to sposób przez nadejście owej propozycji w powyższym liście.

11 września 1854 – Byłem w kościele, gdzie mi myśl przyszła, aby ks. Preibisz odrysował obrazek przedstawiający Najświętszą Pannę Gostyńską z wielkiego ołtarza. (...) Obrazek ten miałby dwa cele: najprzód pomnożenie i rozpowszechnienie czci Najświętszej Panny, a po wtóre dochód na sieroty i chorych.

13 września 1854 – Zastawszy u ks. Hübnera nowo wyszły *Żywot Najświętszej Panny* nabyłem go natychmiast i zaniósłem z prośbą do ks. Sz., aby tłumaczeniem tego dzieła na dochód sierot zająć się raczył. (...) Otóż nową i upragnioną nadarza mi Pan Bóg sposobność do pomnożenia chwały Najświętszej Panny i zebrania owoców dla sierot.

DUCHOWOŚĆ bł. EDMUNDA – wypisy z Dziennika

- ✓ Modliłem się już nie słowami i myślą, tylko samym sercem i pełnością ducha. (*Dz. 30 VIII 1854*)

- ✓ Deszcz nie dozwolił mi być w kościele. Toteż cały dzień jałowo mi przeszedł. *(Dz. 25 IX 1854)*
- ✓ Zacząłem przepisywać z rękopisu O. B. Ćwiczenia duchowne, czyli jak pobożność na wszystkie sprawy dnia całego w życiu rozlewać się powinna. *(Dz. 29 IV 1858)*
- ✓ Szczęściem przecież, że sam jeden w pojeździe pocztowym jechałem, zamknąwszy więc okna (...) i wyjąwszy książkę do nabożeństwa, cały czas drogi poświęciłem modlitwom. *(Dz. 17 X 1856)*
- ✓ Wyszedłem do kościoła o 530. Wróciłem do domu na 1800. (...) Ślicznie mi dzień dzisiejszy przeszedł. Z wyjątkiem kilku godzin obiadowych (a raczej półtorej godziny), byłem dzień cały w kościele. Przy świecy zacząłem nabożeństwo, przy świecy skończyłem. *(Dz. 8 XII 1854)*
- ✓ Pomimo zwiększającego się bólu (...) wstałem i przed siódmą pojechałem do Instytutu na Mszę św., przy której przyjąłem Komunię św. Chód, każde poruszenie, mocniejsze oddychanie sprawia mi dotkliwe klucie. (...) Musiałem cały wieczór przeleżeć w pokoju. Do północy medytowałem na krześle, bo gdy leżałem, kaszel mnie męczył. *(Dz. 10 VIII 1855)*
- ✓ Dzisiejszy dzień cały do najmilszych w moim teraźniejszym życiu zapisać powinienem, bo przepędziłem go w nabożeństwie z Bogiem, - i w towarzystwie z ludźmi wedle Boga. Całą drogę mówiliśmy tylko o przedmiotach religijnych, a najdłużej o głębokiej tajemnicy Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny. *(Dz. 6 VIII 1854)*
- ✓ Była u mnie Rozalia J. Dałem jej kartkę z nabożeństwem do Konającego Serca Pana Jezusa za konających. Mam nadzieję, że przez nią czuła ta pamięć o konających rozszerzy się w tutejszej wiosce. *(Dz. 3 IX 1853)*
- ✓ Pozapisywałem dziś Żywoty Świętych do czytania na maj dla tutejszych wiosek okolicznych. *(Dz. 29 IV 1853)*
- ✓ Pochmurno, wiatr od wschodu zamiata śnieg i zarzuca tory. Pomimo tego wybrałem się pieszo do kościoła, bo mi było przykro, że wczoraj i przedwczoraj nie był, a przy tym chciałem spróbować, czy znużenie i świeże powietrze nie wyleczy z kataru. Przeprawa była trudna, gdzieś trzeba było głęboko brnąć w śniegu bez najmniejszego toru, do tego wichry i zamieć utrudniały przejście. Zdyszany i spocony przebrnąłem wreszcie do kościoła. Byłem na Mszy św. i u spowiedzi. *(Dz. 5 I 1854)*

- ✓ Marynce powiedziałem, że kiedy umiała się obyć w dniu swych urodzin, i to jeszcze w dniu uroczystym Narodzenia Najświętszej Panny przypadających, bez Komunii św., to też obyć się może bez podarunków, jakie jej w tym dniu dać umyśliłem. *(Dz. 8 IX 1854)*
- ✓ Jakże Bóg Miłosierny, że mię cios ten spotkał właśnie w czasie uroczystości Bożego Ciała, kiedy przez cały tydzień oktawy mogę się modlić i nawiedzać dwa razy na dzień wystawiony Przenajświętszy Sakrament i czerpać posilenie w smutku, z podnioślejszym duchem, wobec ciągle widocznej Tajemnicy Ołtarza. *(Dz. 27 V 1853)*
- ✓ Przy Mszy św. przyjąłem Komunię św. na intencję dzisiejszego dnia, w którym się obchodzi święto Niepokalanego Serca Najświętszej Panny i w którym obchodzić będziemy założenie i otwarcie upragnionego nowicjatu ochronkowego w Jaszkwie. *(Dz. 26 VIII 1856)*
- ✓ Mówiłem jej [Jagusi z ochronki podrzeckiej], że dostanie ode mnie książeczkę o Żywym Różańcu i kartki z tajemnicami, aby się starała w swej rodzinnej wiosce to pobożne bractwo zaprowadzić. *(Dz. 9 IX 1854)*
- ✓ Była u mnie Marynka z ochronki.(...) Szczególniej tajemnicę Niepokalanego Poczęcia wskazałem do rozważania na ten miesiąc. Mówiłem jej o szczególnej ważności jutrzejszej uroczystości z powodu nastąpić teraz mającego zatwierdzenia przez Stolicę Apostolską tego dogmatu. *(Dz. 7 XII 1854)*
- ✓ Od ks. Preibisza odebrałem dwa obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej do ochronek, a trzeci ma być dopiero wykończony. *(Dz. 31 V 1862)*
- ✓ Oprócz powinszowania raczyły mi przysłać w upominku piękny obraz Najświętszej Panny Bolesnej, jako szczególnie przeze mnie ukochanej. *(Dz. 16 XI 1853)*
- ✓ 9 – tej wieczorem przybyły do mnie z Grabonoga dziewczyny, prosząc o świecę do majowego nabożeństwa, które dziś rozpoczynają. Miła to była dla mnie niespodzianka, bo wprawdzie dawniej wspominałem im o tym nabożeństwie, ale nie wiedziałem, że doprowadzą do skutku. *(Dz. 1 V 1856)*
- ✓ Dziatki w nader trafnie pomyślanym przez Siostrę Konstancję porządku zaczęły od śpiewu „Bogarodzicy”, (...) zakończyły odśpiewaniem pieśni „Boże, coś Polskę”, jakoby w tych dwóch pieśniach objęły cały wiekowy ciąg życia narodu polskiego, od jego początków, aż do obecnych czasów. *(Dz. 24 VIII 1861)*

- ✓ Poszedłem zanieść Bogu w ofierze moje zbolące serce. Modliłem się gorąco, ale nie słowami, nie myślą, tylko naprężonym uczuciem całego serca. Prosiłem Boga najmiłosierniejszego, aby mi dał łaskę wytrwałości i zupełnego zgodzania się z Jego Wolą świętą. *(Dz. 27 V 1853)*
- ✓ Nad brzegami jeziora widziałem pełno kwitnących lilii białych wodnych. Pamiętam, że od lat dziecińczych szczególniejszy dla mnie urok miały te kwiaty. Nie mogłem się im i dzisiaj napatrzeć. (...) To znowu patrząc na sięgające za tymi liliami dziewczęta pomyślałem: jeżeli z błotnych kałów i dzikich zarośli nawodnych wyrastają tak śnieżnej i czystej białości kwiaty, czemuż by i z zaniedbanych, a nawet w zepsucia ugrzęźłych wiosek naszych nie miały bezpiecznie wykwić czyste dusze Służebniczek Najświętszej Panny? *(Dz. 8 VI 1857)*
- ✓ Jej i Rozalii (...) włożyłem za obowiązek, by w maju w dzień św. Jana Nepomucena wieczorem i przez oktawę zebrały ludzi jak najwięcej do śpiewania pieśni i litanii o tymże świętym i odczytywania modlitw w tej książeczce zawartych, a to dlatego, iżby za przyczyną tego świętego Patrona uprosić wstrzeźliwość w obmowie, a szanowanie dobrej sławy cudzej. *(Dz. 6 III 1854)*
- ✓ Boże, jakże serce moje przepelnione pociechą. Nie daj, abym się przez to czuł już bezpiecznym, bo właśnie mogłoby nas prędkie zasmucenie spotkać. Owszem, jak w każdym smutku pokrzepiasz mnie nadzieją rychłej poprawy, tak w dniu pociechy uzbroj mnie gotowością na wszelkie przygody. *(Dz. 19 IV 1853)*
- ✓ Przed południem pojechałem do Gostynia pożegnać wyjeżdżającego dziś Ludwika. Zastałem go przy pakowaniu. Smutno mi było widzieć opróżnione już kąty jego pokoju, dokąd tyle razy z Instytutu wstępowałem, aby się ogrzać przy jego piecu i serce ogrzać w poufnej rozmowie. Ostatni już towarzysz ubywa mi z okolicy. (...) Może w tym wszystkim jest zrządzenie Boże! Zostanę sam jak kołek, ale to może skupi mnie więcej wewnętrznie (...). Daj to, Boże i prowadź mię, abym zupełnie oddać się mógł służbie Twojej świętej. *(Dz. 7 I 1857)*

Wybrano z pozycji:

Sługa Boży Edmund Bojanowski. Myśli - przeżycia - nauki. Z jego pism wybrał i oprac. o. Kazimierz Hołda CSSR, Opole 1985

Bojanowski Edmund, Dziennik 1853-1871. Wybór, wprowadzenie i przypisy Amelia i Tadeusz Szafrąnsy. Słowo wstępne ks. Józef Kard. Glemp, Warszawa 1999 (wyd. 1 – 1988)

III. FRAGMENT POWIEŚCI „SURDUT CZY REWERENDA”

Szafrańska Amelia, Surdut czy rewerenda. Opowieść o Edmundzie Bojanowskim, wyd. 4, Warszawa 1999 (wyd. 1-3: 1976, 1989, 1990).

CZARNY KRZYŻ

Siąpił kapuśniaczek, gdy Edmund wracał z rannego nabożeństwa. Święta Góra stała się dlań teraz drugim domem. Cisza świątyni i ta niemal odczuwalna obecność Boga wpływały kojąco, pomagały w podejmowaniu decyzji, układaniu planów. Wymykał się z domu wcześniej rano, a gdy pocziwa, choć niedołączona już Katarzyna chciała usłużyć swemu pupilkowi, by nie wychodził na czczo, z uśmiechem dziękował, powtarzając jakby do siebie „Mnie inny pokarm potrzebny...” Wycofywała się wtedy do kuchni i ciężko postukując dębową laseczką mruzczała: „Jaśnie pan od maleńkości cuduje”.

Ostatnia wypełniona szczękiem oręża wiosna zmęczyła go nieco. Czuł się osłabiony. Z trudem wstępował pod górę, pocił się przy najmniejszym wysiłku. - Wypocznę, to i słabość minie - pocieszał się.

Szedł bardzo powoli i mimo że drobny kapuśniaczek zmienił się w deszcz ze śniegiem i zacinał w oczy, skręcił przez pola nadkładając drogi. Patrzył na wyłaniającą się tu i ówdzie spod śniegu oziminę. - Jestem jak ten ptak niebieski - myślał - co to nie sieje, nie orze, a jakoś żyje.

- Przywiązany był do tej ziemi, ale czy sam chciałby się zajmować uprawą? Matka słusznie powtarzała: „Każdy człowiek ma swój los zapisany w niebie”. Ale co było jemu zapisane? Ileż to razy widział już jakiś wytknięty cel w życiu, lecz później wszystko się jakoś rozwiewało, upadało. Nauka, poezja... Ze splątanych ścieżek trudno było wybrać najprostszą. Mijał chłopskie zagrody, gdy naraz z trzaskiem otworzyły się jakieś drzwi i z chałupy wypadła kobieta z dzieckiem na ręku. W siennej twarzy gorzały przerażone oczy.

- Ratujcie, jaśnie panie!

Edmund, wyrwany z zamyślenia, przystanął, przyjrzał się uważnie kobiecie.

- Co wam?

- Ratujcie, dobrodzieju, mój umiera!

- Co się stało? Gdzie on?

- Zaraza, panie - jęknęła kobieta, cofając się w głąb chaty.

Edmund zdrętwiał. Czyżby i tu dotarła owa straszna choroba, o której coraz głośniej było w Księżstwie?

- Ale co mu jest? - pytał stojąc przed progiem.

- Zimno go trzęsie - mówiła, ocierając twarz fartuchem. - Niczego w sobie utrzymać nie może. Z gęby mu się takie białe leje. A za swoją potrzebą to nijak zdążyć nie może.

Edmund już wiedział. Jak żywa stanęła mu przed oczyma epidemia cholery z 1837 roku. Tak, to typowe objawy: uczucie zimna, wodniste stolce, białawe wymioty. Instynktownie cofnął się parę kroków. Nagle zatrzymał się. Sięgnął do kieszeni surduta, szukając pieniędzy. Namacał talara, ważył go dłuższą chwilę w dłoni. Położyć na progu i odejść? Wśród zawodzeń kobiety usłyszał teraz głuchy, niby ze środka trzewi się dobywający jęk chorego. Postąpił parę kroków naprzód. Przyciskając do siebie kapelusz i wstrzymując oddech, przekroczył próg.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział.

W izbie panował półmrok. Dopiero po pewnym czasie spojrzawszy w stronę, skąd dochodził jęk, dostrzegł leżącego na barłogu mężczyznę. Na jego sinei pomarszczonej twarzy widać było głęboką podłużną szramę. Edmund przypomniał sobie niedawną bitwę o Gostyń. Tak, to ten człowiek... Wtedy ocaliłem mu życie. Czyżbym teraz miał stchórzyć i srebrnym talarem oszukać sumienie?

Zgniły fetor bił od strony barłogu. Chory miał półprzymknięte oczy, twarz zroszoną potem, zmierzwione włosy. Nagle poruszył się. Edmund myślał, że chce coś powiedzieć, ale Gałązka przewrócił się tylko na bok, a z ust jego chlusnął białawy lepki strumień, prosto na trzymany wciąż w ręce kapelusz i buty gościa. Edmund odruchowo cofnął się i nagle, jak gdyby nie mógł znieść dłużej zawodzenia kobiety, prawie krzyknął:

- Uciszczone się! Tym na pewno nie pomożecie choremu.

Umilkła natychmiast, podeszła chwiejąc się do łóżka i dopiero teraz zobaczyła, co się stało. Zaczęła bezradnie wycierać fartuchem zabrudzone buty. Edmund oddał jej kapelusz i usiadł na zydlu. Ach, gdyby tu był Matecki lub Gąsiorowski! Przypomniał sobie, jak wielkim niebezpieczeństwem jest odwodnienie organizmu.

- Dajcie mu pić - powiedział do kobiety, która również przysiadła na skraju ławy. A gdy tak siedziała bez ruchu, sam podszedł do kuchni. Ogień już wygasł, ale woda w jednym z saganków była jeszcze ciepła. Nalał trochę do glinianego kubka. Wrócił do łóżka, uniósł lekko głowę chorego i przystawił kubek do spieczonych warg. Mężczyzna pił łapczywie. Edmund poprawił wypełnioną sianem poduszkę. Teraz dopiero zauważył, że nieszczęśnik leży we własnych odchodach.

- Oporządźcie męża - zwrócił się do kobiety, która wciąż siedziała bez ruchu - i zróbcie mu napar z czarnego bzu lub rumianku. Albo z mięty.

- Kiej nijakiego bzu nie mam, jaśnie panie - powiedziała jak wyrwana z letargu, lecz wciąż siedziała nieruchoma.

- Może być sam rumianek. - Wyciągnął z kieszonki zegarek. Dochodziła dziesiąta. Był umówiony z Teofilem, mieli jechać do Leszna. Pewnie się niecierpliwi. Zajrzę tu jeszcze. Trzeba wezwać medyka.

Kiedy wyszedł na dwór, poczuł zawrót głowy i mdłości. Czyżbym i ja...? - pomyślał i oblał się zimnym potem. Wiatr smagał po twarzy i rozwiewał włosy. Brudny kapelusz został u Gałązków. A więc tak wygląda służba innym... - Uśmiechnął się na myśl o jałmużnie - Trzeba własnymi rękami dotknąć nędzy. To nie to samo co pisać lub udzielać rad. Tu trzeba po prostu dać siebie... Tak zwyczajnie dać siebie, bo ktoś tego potrzebuje. Czym zdolny do takowej ofiary?

Kiedy stanął przed domem, Teofil krzyknął na jego widok:

- Człowieku, jak ty wyglądasz! Gdzieżeś chodził do tej pory bez jedzenia?

Edmund stał jak winowajca, przecierając końcem fularu zapocone okulary.

- Na wsi byłem -- odpowiedział cicho. -- Pewnie u cholerycznego.

- U kogo?

- U cholerycznego. Wojciecha Gałązki -- wyjaśnił spokojnie.

Zapadał zmierzch, kiedy zbliżał się do zagrody Gałązków. Z daleka już spostrzegł wymalowany na drzwiach czarny krzyż. Zewsząd unosił się zapach chloru. A więc była już dezynfekcja. Rozejrzał się po izbie, szukając kobiety. Ujrzał ją w mroku, leżącą na łóżku naprzeciw chorego. Podeszedł bliżej i pochylił się. Oddychała ciężko. Wyciągnęła ręce przed siebie, chciała coś mówić, lecz z gardła wydobywało się tylko dziwne skrzeczenie. Z ruchu warg domyślił się, że woła księdza. Widząc, że umiera, pochylił się jeszcze niżej i opanowując drżenie głosu powiedział: - Pan Bóg już ci przebaczył. - Kobieta jakby zrozumiała, a może tylko osłabiona przycichła. Oddychała coraz ciszej, potem znieruchomiła.

Oto znowu spełniało się przed nim misterium śmierci. Na ułamek sekundy przeniósł się myślą do grabonoskiego dworku. Matka umierała zupełnie inaczej, a przecież było tu jakieś podobieństwo. Dwie mizerne istoty ludzkie: tamta z dworu i ta z chałupy. Gdyby nie Bóg, byłyby tak samo opuszczone i samotne. Przed chwilą wzdrygnąłby się jeszcze na myśl, że mógłby dotknąć zmarłej. Teraz jednak powoli zamykał jej powieki, składał ręce na piersiach. Potem przyklęknął i zaczął mówić półgłosem Wieczny odpoczynek.

Z kąta dobiegło ciche pochlipywanie. Ten głos jakby go ocucił. Teraz dopiero zauważył, że w izbie było już zupełnie ciemno.

- Świecy nie macie? - zapytał spokojnie, jakby nic się nie stało.

- Leży na okapku - odpowiedział dziecięcy głos. Podeszedł do pieca. Długo szukał, nim namacał podłużny kształt.

- A siarniki?

Nie było odpowiedzi. Zaczął przetrząsać kieszenie. Są. Migotliwy blask rozjaśnił izbę. Zapalił świecę i rozejrzał się dookoła szukając dzieci. Siedziały wystraszone w kącie koło pieca. „Pewnie głodne” - pomyślał. Z torby na lekarstwa wydobyl parę bułek, od razu wyciągnęło się po nie kilka rąk.

Długo rozniecał ogień w wygaszonym palenisku, parząc sobie ręce. Mokre drzewo skwierczało, dusiło się, gasło. Dzieci jadły i przyglądały mu się w milczeniu. Nagle najstarszy chłopak powiedział cicho: - Nie tak, nie umiecie... - Wstał, podeszedł do łóżka ojca. Gałązka ciągle leżał z półprzymkniętymi oczami. Chłopiec wyciągnął spod niego dużą garść słomy. Zręcznym ruchem wepchnął ją do paleniska. Buchnął jasny płomień, obejmując podsuszony już polana.

- Widzisz - odezwał się Bojanowski - ja jestem taki duży, a nie umiem w piecu napalić, a ty taki mały i potrafisz.

Wyjął z torby zioła i proszki. Przygotował napar, wsypał lekarstwo do kubka i uniósłszy głowę chorego, przytknął mu do warg, które jednak pozostały zaciśnięte. Podważył łyżeczką i wlał trochę płynu do ust. Gałązka mlasnął parę razy językiem i pił już

bez oporu. Ożywił się trochę. ~ Nogi bolą - wyszeptał. Edmund odsunął pierzynę i nacierał spirytusem kamforowym wychudzone golenie. Potem zwrócił się do dzieci:

- Idźcie spać, bo pora już późna. „Tylko gdzie?” zastanawiał się. Na jednym łóżku trup matki, na drugim chory ojciec... Rozejrzał się po izbie. Za piecem były jakieś drzwiczki. Podszedł i otworzył je. Z komórki wydobywał się zapach siana i stęchlizny. Edmund zawrócił po świecę.

(...) Nogi grzęzły w błocie. Włókł je ciężko za sobą. Uczuł senność i głód. Na chałupie, obok której właśnie przechodził, również zauważył krzyż. Jakiś człowiek na długi m kiju wstawiał do sieni węzełek. Pewnie żywność. Chwała Bogu za miłosierne serce.

Im bliżej był dworu, tym bardziej przyspieszał kroku. Chciał dostać się niepostrzeżenie do pokoju. Aby tylko pies nie zaszczekał, gdy usłyszy skrzypnięcie bramy... Dzięki Bogu udało się. Już był na górze. Nie rozbierając się runął na łóżko.

- Kara Boża - mówił młody filipin, gdy Edmund wychodził po rannej mszy. - Z ostatnią posługą nie nadążamy. Wczoraj chowano zmarłych jak Żydów w prześcieradłach, bo desek na trumny brakło. W Poznaniu na Chwaliszewie trupy kładą pod murem, skąd je żałobny furgon zabiera prosto na choleryczny cmentarz. Pan dobrodziej będzie zapewne obecny na wieczornym nabożeństwie - dodał, ponieważ Edmund nic nie mówił. - Ruszy procesja błagalna o odwrócenie zarazy.

Powoli schodził z góry, a kiedy skręcił do Gostynia, usłyszał bicie dzwonów. Ulice były jak wymarłe, nigdzie żywego ducha, tylko żandarmi na drzwiach narożnego domu przybijali tabliczkę z napisem „cholera”. Gdy doszedł do rynku, zobaczył, że drzwi jakiegoś domu, na którym wymalowano sadzą czarny krzyż, otwierają się. Na progu stanął doktor Catt w czarnej pelerynie z kapturem. Zobaczywszy Edmunda, zdziwił się niepomniernie.

- Co pan tu robisz u Boga Ojca? Czyżby we dworze ktoś zachorował?

(...)

- Bułek już od kilku dni nie piekę. Mam jeszcze parę bochenków chleba, ale czerstwego, dwa suszone sery, poć wędzonej słoniny.

- Wszystko, wszystko, co jest... Głowy cukrowe, soki...

Właściciel zajazdu patrzył z niedowierzaniem.

- Do Grabonoga głód chyba nie zagląda? Dla kogo zatem, jeśli wolno spytać?

- Jest wielu głodnych i chorych - powiedział krótko Edmund.

Po chwili wychodził objuczony ciężką torbą. Dzwony na wieży kościelnej znów były. Ich dźwięk spiżowy, groźny a zarazem żalorny, przelewał się pustymi ulicami, odbijał głuchym echem od wymarłych domów. Edmund przystanął na środku rynku. Dokąd iść najpierw? Spojrzał na najbliższy dom, na którym wymalowany był czarny krzyż. Wszedł bez wahania. Straszliwy zaduch omal nie powalił go w progu. Otworzył drzwi na oścież. W środku nie było nikogo. Tylko w kącie na przegniłym barłogu konał jakiś człowiek. Pierś unosiła mu się gwałtownie, otwartymi ustami łąpał powietrze. Nie mógł mówić, ale patrzył przytomnie i jak gdyby na coś czekał. Edmund ukląkł przy nim i głośno, wyraźnie, tak żeby tamten mógł zrozumieć, zaczął odmawiać litanie za konających:

- ...odpuść mu winy, bo z całego serca za nie żałuje, a w dzień sądu Twego wybaw go, Panie...

Tego dnia odwiedził jeszcze niejeden dom oznaczony czarnym krzyżem. Ogromna torba, pod której ciężarem uginał się, gdy wychodził od Kuleszy, stawała się coraz lżejsza. Za to nogi i głowa coraz cięższe. Wyczerpany, modlił się prawie, by nie zobaczyć już złowrogiego czarnego znaku, ale ilekroć postanawiał wracać do domu, okazywało się, że jeszcze ktoś oczekuje pomocy, komuś potrzebne są lekarstwa, kawałek chleba, słowo pociechy czy po prostu modlitwa. W ustach miał smak chloru, którym wysypane były obejścia. Zbierało mu się na wymioty. Coś podchodziło do gardła. Oparł się o najbliższy dom i stał tak przez chwilę. Usłyszał turkot wózka. Ciągnęło go dwóch ludzi. Na nim skrzynka, to pewnie trumna. Przed tym niemym konduktem szedł człowiek z latarnią. Edmund wziął torbę i ruszył za nim.

Dzwony na Świętej Górze biły na procesję, gdy wlokąc się ostatkiem sił stanął przed dworkiem. Było ciemno, cieszył się, że nikt od Teofilów go nie zobaczy. Drzwi otworzyła Katarzyna. Starowina aż oczy przecierała ze zdumienia, nie mogąc poznać swego panicza.

- Jezus Maryja! -wykrzyknęła. -Toż to nieboszczyk w trumnie lepiej wygląda niż jaśnie pan. Trzeba sumienia nad sobą nie mieć! Co ja teraz z jaśnie panem zrobię? Wypocząć by choć parę dni należało. A tu wszyscy cały dzień pana szukają. Pan Teofil, ludzie jakież...

- Co za ludzie?

- A różni. Z Grabonoga i z Podrzecza, z Gostynia i Strzelcza. Gadali, że po ratunek przyszli. Trupio bladą twarz Edmunda rozjaśnił uśmiech. Ale Katarzyna już tego nie widziała: zaczęła się krzątać, podała wodę do mycia, szykowała strawę.

Wieczorem Edmund klęcząc przy łóżku długo się modlił. - Więc oni mnie potrzebują - powtarzał. - Szukali mnie... - i w odruchu niewysłowionej wdzięczności spojrzął na duży czarny krucyfiks.

Opracowała s. Małgorzata Schmidt